

Pieniądze, które śmierdzą (afery narkotykowa)

Jedne afery gospodarczo-polityczne, jak na przykład afera wokół budowy kanału panamskiego, odchodzą do historii [1], inne rodzą się w ich miejsce. Ludzie z jednej strony próbują się doskonalić, pracują nad kolejnymi kodeksami etycznymi, pracują nad sobą. Z drugiej, choć tak bardzo podkreślają wartość dziesięciu przykazań, tak łatwo je łamią. Może dlatego, że wartość pieniądza jest znacznie łatwiej skalkulować? A może dlatego, że normy etyczne powinny być świadomym nakazem wewnętrznym, a nie narzuconym z zewnątrz przykazaniem?

W tym artykule [2] jest mowa o całkiem młodej aferze w całkiem spokojnym kraju, w Szwajcarii. Rzecz dzieje się w Zurychu, międzynarodowej metropolii finansowej, z końcem lat 80. ubiegłego wieku. Tekst odpowiada na następujące pytania (no, może z wyjątkiem ostatniego): Co kryje się za fasadami banków? Czego nie da się ukryć na „Placu śmierci”? Kto to jest Musullulu? Dlaczego Elisabeth Kopp, pierwsza kobieta w rządzie szwajcarskim, musiała odejść? Jak się pierze brudne pieniądze? Ile kosztuje człowiek, a ile życie?

Gdy w 1972 roku zuryska młodzież "flower power" zaczęła się spotykać w najbardziej widocznym, najpiękniejszym miejscu w mieście, tuż koło placu zwanego Bellevue, i słusznie, bo rozpościera się z niego przepyszny widok na okolone urokliwymi miejscowościami jezioro i wbijający się w niebo grzebień Alp, nikt nawet w najczarniejszym scenariuszu nie przewidywał, że oto zawiązuje się środowisko, które w niedalekiej przyszłości stanie się najbrutalniejszą, najbezwzględniejszą sceną handlu narkotykami w Europie. Jak mogło do tego dojść, że w kraju tak statecznym, tak zamożnym, tak bezpiecznym handlarze narkotykami mogli przez tyle lat uprawiać bezkarnie swój śmiercionośny proceder? Zapewne dlatego, że miało to tak niewinny początek. I że wyglądało tak beztrąsko. Ale nie tylko...

„Money, money, money makes the world go around...”, „Pieniądz, pieniądz, pieniądz sprawia, że kręci się świat...”, śpiewała wdzięcznie dookoła świata Liza Minnelli. Za rolę w filmie "Kabaret", który wylansował tę piosenkę w jej wykonaniu i którego światowa premiera miała miejsce w lutym 1972 roku, dostała jakże zasłużonego Oscara. Dookoła świata słuchano też wtedy na okrągło tekstów o wolności, pokoju i miłości. Któż nie uwielbiał Janis Joplin? Któż nie chciałby podążyć za jej wezwaniem: „Live your loving life, live it all the best you can... As good as you've been to this whole wide world, as good as you've been, babe, so good I wanna be here... Come on! Come on! Come on!...” Młodzi ludzie mieli dość szkół, instytucji, kościołów, autorytetów, konsumpcji, rywalizacji, pieniędzy, wojen, wojny w Wietnamie, śmierci!

Tyle, że właścicielka tych porywających słów już właśnie oddała swoje młode życie śmierci. Zmarła 4 października 1970 roku na przedawkowanie heroiny. Miała 27 lat [3]. Został tylko jej charyzmatyczny głos do energetyzującej muzyki. Krótco po jej śmierci powstał film, który charakteryzował się tym, że nie było w nim muzyki w ogóle, co jest dla filmu ewenementem. Film nosił tytuł „The Panic in Needle Park”. I nie był powszechnie oglądany, w Wielkiej Brytanii czekał aż cztery lata na pozwolenie rozpowszechniania. Z powodu zbyt drastycznych scen z życia narkomanów (w Polsce pokazywany był pod polskim tytułem „Narkomani” właśnie). Al Pacino ma tu swoją pierwszą wielką rolę, gra narkomana i dealera Bobby’ego. Jego życie rozpięte jest między zdobyciem działki a sprzedażą działek. Pieniądze za narkotyki na narkotyki.... Małe dla drobnego dealera, wielkie dla...?

„Money, money, money, money, money, money...” Pieniądz nakręca świat, a Szwajcaria wydaje się być osią tego wirowania. I choć „o pieniądzach się nie mówi, pieniądze się ma”, w Zurychu w czasie tamtych pamiętnych wydarzeń głośno było o pieniądzach. Geld, Geld, Geld... (tak to brzmi w oryginale). I dopiero wtedy wylazło, że Szwajcarzy to sama elokwencja poparta gorącym temperamentem. Dzień w dzień było o tym kto ile zarabia i co ile kosztuje... Na przykład taka ulica Dworcowa. Trudno by mi było dziś powiedzieć, czemu mi się ta nazwa zawsze kojarzyła z ponurym dworcowym zapleczem, pełnym jakichś baraków, nadburzonych fabryk, obskurnych magazynów, a w tym wszystkim — koniecznie - szczury. Zuryska ulica o tej nazwie, czyli Bahnhofstrasse, jest jedną z najelegantszych ulic na świecie. Co najwyżej paryskie Champs-Elysees, albo nowojorska Piąta mogłyby się do niej przyrównać.

Magazyny, i owszem. Lśniące szyby wystawowe, a za nimi taki wybór towarów, taka ich jakość, taki wykwiint... a wszystko to pod koniec lat 80. ubiegłego wieku, gdy na półkach sklepów polskich królował ocet i musztarda, zmiany dopiero się szykowały. Ceny? Och, ubrania były stosunkowo tanie. Jedynie futra — kiedyś drogie, staniały „odkąd madame wie, że nie należy się odziewać w czyjąś sierść”, sklepy z futrami wyraźnie spuściły z tonu. Było ich coraz mniej, ceny się kurczyły, Brigitte Bardot triumfowała. Za to sklepy jubilerskie miały coraz lepsze obroty. Slogan reklamowy „Be Piaget, Don't Show Your Arm” [4] chwycił. Marka „Piaget” to gwarancja nienarzucającego się designu za piekielną cenę. Bizuteria mieniła się na wystawach wszystkimi kolorami tęczy, wystawy same w sobie już były dziełami sztuki, sklepy kipiały towarami, przez kawiarnie przewalały się tłumy stałych bywalców na przemian z oszołomionymi turystami...

Wartość metra kwadratowego zuryskiej Dworcowej rosła z dnia na dzień, ale kupcy jakoś ciągle się znajdowali, choć ceny były astronomiczne. Bahnhofstrasse jest pod powierzchnią przeryta korytarzami pełnymi trudnego do wyobrażenia bogactwa. Ponoć w bankowych sejfach jest więcej dzieł sztuki niż w publicznych muzeach. Istny sezam... gdyby tylko znać zaklęcie. A ponieważ to nie arabska baśń z tysiąca i jednej nocy, ale najprawdziwsza prawda, więc są i tacy, którzy mają wstęp do tych bajkowych pieczar ze skarbami.

Bahnhofstrasse — ponad półtora kilometra samych wspaniałości — i oto otwiera się widok na otoczone zielenią Jezioro Zuryskie, a na nim prawie cały rok, bo klimat jest łagodny: statki, żaglówki, jachty... i królewskie łabędzie. Horyzont zamykają Alpy z wiecznie ośnieżonymi szczytami — tak dla kontrastu i dodania uroku. Zurych jest jednym z najstarszych (ponad 2000 lat!) i najpiękniej położonych miast Europy, a jego główna ulica już od samego początku swego istnienia — dziś ponad 130 lat — uchodzi za jedną z najfantastyczniejszych promenad świata. Rainer Maria Rilke, Ephraim Kirshon czy Arnold Kuebler opiewali jej piękność i niebywałą czystość. Stanisław Lem w jednej ze swoich ostatnich powieści pisał, że Bahnhofstrasse tak się błyszczy, iż zdaje się być nie tylko świeżo pozamatana ale i wyglansowana.

Na samym początku ulicy znajduje się wybudowany w latach 1865-71 budynek dworcowy. Fasadą skierowaną w stronę Bahnhofstrasse odzwierciedla wcale nie tak dawne tęsknoty mieszczaństwa do wsparcia się potęgą techniki. Luksusowe pasáže pod budynkiem prowadzą na perony. I znów: eleganckie sklepy, wspaniałe wystawy, lśniące szyby, kolorowe neony, jak to w takich pasażach. I jak to w pasażach, są tu całkiem przytulne miejsca dla takich, co to się społecznie obslizgnęli. W Zurychu nie można mieć tylko trochę pieniędzy. Już na samo mieszkanie trzeba mieć dużo! Jak się nie ma dość, to się przede wszystkim nie ma dachu nad głową... Dworzec Główny ma dach potężny, tylko korzystać. Zima 1989/90 była wprawdzie nędzna, ale jednak trzeba było się schronić.

Kilkudziesięciu bezdomnych przepędziło zimę w dworcowych przejściach razem ze swoim licznym inwentarzem, gotując sobie, śpiąc, spijając alkohole, muzykując, żebrząc, rozrabiając. Jasne, że kłuło to w oczy. Właściciele sklepów się wściekali, przechodnie oburzali. Ani jedni, ani drudzy nie życzyli sobie oglądać biedy i brudu w drodze do — i z pracy. Kloszardów przepędzono, problem z głowy.

Lecz tak naprawdę wrzód Zurychu rósł wtedy po drugiej stronie dworca. Za Muzeum Narodowym, mieszczącym się w neogotyckim zamku, jest wciśnięty między dwie rzeki malowniczy stary park. Nazywa się „Platzspitz”, od pamiętnych wydarzeń pojęcie znane na całym świecie. Otóż Platzspitz przez dobrych kilka lat nosił miano „Placu Śmierci”, był bowiem miejscem zaanektowanym przez narkomanów — po latach prosperity przy Bellevue handel narkotykami przeniósł się w bardziej dyskretne miejsce, na tyły Volksmuseum. Handel kwitł, przynosił coraz znaczniejsze dochody, potrzebował przestrzeni na rozwój, schody na brzegu rzeki Limmat przy Bellevue z widokiem na Alpy to już była tylko „romantyczna” przeszłość. Tu chodziło o wielkie pieniądze. Porozmawiajmy więc przy tej okazji i my o pieniądzach. Przeciętny mieszkaniec Zurychu zarabiał w tamtych latach 3 do 4 tysięcy franków miesięcznie (1,5 franka to był 1 dolar, dziś niecałe 1,2 CHF to dolar).

Ktoś, kto musiał mieć dzień w dzień swoją porcję narkotyków, potrzebował od 300 do 600 franków dziennie! I to tylko i wyłącznie na narkotyki. Mieszkania mógł nie mieć, nie musiał płacić, lub mieszkał gdzieś kątem, ubrań nie kupował, a jeśli mu jeszcze zależało, kradł. Jadł mało i źle. 200 do 400 dolarów dziennie nie zarabiał byle kto. To

już trzeba było mieć bardzo dobrą posadę — choćby w banku. Miesięcznie wynosi to bowiem — 9 do 18 tysięcy franków! Ludzie zależni od narkotyków, ludzie przeważnie młodzi, bo późnego wieku nie dożywali, musieli więc dokonywać cudów, żeby zdobyć potrzebne im pieniądze.

Prostytucja to był jeszcze najpewniejszy sposób, ale nie najbezpieczniejszy. Przede wszystkim panowała tu ostra konkurencja. Zawodowe prostytutki za wszelką cenę starały się nie dopuszczać narkomanek-amatorek, bo te „niszczyły im rynek” proponując ceny dumpingowe. Jeżeli najniższa stawka dla „profesjonalistek” wynosiła 100 franków, a narkomanki zgadzały się już na połowę, to duża część „gości” korzystała z ich „usług”. Poza tym narkomanki nie targowały się o użycie ochrony przed zakażeniem AIDS, bo i tak im było zwykle wszystko jedno, co powodowało, że amatorzy „miłości bez gumki” (jak się to tu zaczęło wtedy nazywać), i emocji równych grze w rosyjską ruletkę, woleli te dziewczęta (a i, bywało, że chłopców). Sutenerzy z całą bezwzględnością zwalczali narkomanki.

Ale to też znaczy, że właśnie one zagrożone były podwójnie możliwością złapania wirusa HIV. Zarówno użyciem nieodkażonej strzykawki pożyczonej od zarażonych już narkomanów, jak i zarabianiem prostytutką. W ciągu jednej tylko nocy musiały obsłużyć do ośmiu „klientów”. Liczba zachorowań na AIDS wzrastała sukcesywnie. Do kwietnia 1990 roku zarejestrowano w Szwajcarii 1280 chorych — o 25 więcej niż w całym poprzednim roku. Od początku wybuchu choroby do kwietnia 90 zarejestrowano 710 zgonów.

Szwajcaria jest krajem małym, jej powierzchnia wynosi 42.275 kilometrów kwadratowych (prawie 8 x mniej niż Polska), z tego jedna trzecia jest zamieszkała (reszta to Alpy). Stanowi to zaledwie 0,15 procent zamieszkałej powierzchni całej Ziemi. 5,8 miliona mieszkańców pod koniec lat 80. ubiegłego wieku (nie licząc miliona pracujących w Szwajcarii cudzoziemców), to 0,03 procent mieszkańców świata. Nie ma w Szwajcarii bogactw naturalnych, mimo to Szwajcaria stała (i pewnie nadal stoi) na pierwszym miejscu w świecie pod względem handlu złotem. Tylko Narodowy Bank Szwajcarski (Schweizer Nationalbank) dysponował w roku 1989 — 2590 tonami złota. SNB był (i może nadal jest) tym samym na trzecim miejscu wśród największych banków świata pod względem rezerw złota. W dziedzinie reasekuracji szwajcarskie towarzystwa liczą się najbardziej ze wszystkich na rynku światowym. Pięć najważniejszych banków szwajcarskich dysponowało w 1988 roku 483 miliardami franków szwajcarskich. W samym tylko Zurychu przelewy wynosiły dzień w dzień 100 miliardów franków. Są to sumy gigantyczne.

I gigantyczne zyski. Ze wszech stron spływały do Szwajcarii potężne strumienie pieniędzy. Były one w różnym stopniu zanieczyszczone. Obok pieniędzy zarobionych na legalnych transakcjach — wpływały do szwajcarskich banków tak zwane „szare” pieniądze (graues Geld), pochodzące głównie od rządzących warstw bogatych sąsiadów Szwajcarii — Francji, Włoch, Niemiec, a także z krajów skandynawskich, itd. „Graues Geld” to pieniądze nieopodatkowane w kraju swoich posiadaczy.

Jednak największą część wpływających pieniędzy (wedle znawców) stanowiły dewizy pochodzące z handlu bronią (głównie z krajami Trzeciego Świata), z prostytutkami i kasyn gry oraz handlu narkotykami, a więc dewizy zarobione w nielegalny sposób. Są to pieniądze „czarne” lub „brudne”. W Szwajcarii odbywało się ich oczyszczanie, „pranie”, i to w sposób najbanalniejszy w świecie, niemal tak prosto, jak w pralce automatycznej: banki przyjmowały pieniądze bez sprawdzania ich pochodzenia! Zresztą najczęściej przy pomocy firm pośredniczących.

W całym kraju działała sieć pomniejszych spółek finansowych, towarzystw powierniczych, punktów handlu dewizami, nieruchomościami, itd. W nich odbywały się wstępne „przepierki brudów”. Handlarze narkotykami znosili swoje zarobki do takich firm, które — już pod swoimi oficjalnie zarejestrowanymi nazwami, a więc bez podania nazwisk samych handlarzy, ale w ich interesie — otwierały konta dla swoich klientów, lokowały pieniądze w papierach wartościowych, a te deponowały w wielkich bankach, które obracały pieniędzmi inwestując je na całym świecie i wypłacając ich szanownym właścicielom słone odsetki.

Pieniądze napływały, wykupowało się za nie na przykład nieruchomości, konkurencja podbijała ceny, mieszkania

drożały, zyski rosły, koło się zamykało. W ten sposób działała maszyna oczyszczania brudnych ścieków dewizowych, przy czym w ruch wprowadzona została następna stara prawda: „Pieniądz robi pieniądz”. Inwestycje szwajcarskie w świecie sięgały (i z pewnością nadal sięgają) setek milionów franków, z czego duża część ulokowana była w krajach azjatyckich i afrykańskich, a oznaczało to wysysanie pieniędzy z najbardziej zadłużonych regionów świata. Czyli jeszcze raz: pieniądze „zarobione” na ludziach (młodych, często dzieciach) wciągniętych w zależność od narkotyków reinwestowało się w kraje najbiedniejsze, pogłębiając ich już i tak bezgraniczną nędzę.

Utarg z narkotyków wynosił wtedy rocznie około 300 do 500 miliardów dolarów w skali światowej. Eksperci finansowi skłaniali się raczej w kierunku tej drugiej cyfry. Odpowiadałoby to sumie wydawanej rocznie przez wszystkie kraje zachodnie na ropę naftową. Przy czym Szwajcaria, spokojny kraj o długich tradycjach demokratycznych, była miejscem, gdzie krzyżowały się drogi najpotężniejszych karteli światowego handlu narkotykami.

Przyjrzyjmy się zatem jeszcze raz szwajcarskim pieniądзом, szwajcarskiej demokracji i szwajcarskim tak nieodległym problemom. Niewątpliwie do najbardziej przykrych należała szerząca się narkomania. Pod hasłem „Platzspitz” kryło się coś więcej niż tragedia młodych narkomanów i ich rodzin. Platzspitz — był to symptom choroby całego organizmu — szwajcarskiego społeczeństwa. Byli na szczęście tacy, którzy poczuli się w najwyższym stopniu zaalarmowani, bo widzieli niebezpieczeństwo zatrucia całej infrastruktury gospodarczej kraju. Wróćmy więc na Platzspitz tamtych lat. Dzienny obrót handlu narkotykami w Zurychu, głównie na Platzspitzu, obliczało się na mniej więcej 2 miliony franków. Od kilku już lat handel ten odbywał się na oczach wszystkich. Można było pójść i popatrzeć jak żyją narkomani. Koczowali grupkami, wstrzykiwali sobie na oczach przechodzących swoje codzienne dawki, rozrzucali pokrwawione strzykawki, leżeli pogrążeni w transie.

Szwajcaria znalazła się na pierwszym miejscu na świecie (w porównaniu z liczbą mieszkańców) pod względem liczby zgonów spowodowanych narkotykami. Na samym Platzspitzu zmarło w 1989 roku 70 osób. Statystyka mówi, że w całym kraju było około 6 tysięcy osób dotkniętych chorobą narkomanii. Liczba ta ciągle rosła. Mało kto widział związek między tragedią Platzspitzu a piękną Bahnhofstrasse i godnością jej banków. Narkomani byli odrażający, zaniedbani, b-r-u-d-n-i, bankierzy — nieskazitelnie ubrani, dystyngowani, c-z-y-ś-c-i. Policja od czasu do czasu urządzała nagonki na Platzspitzu; finansistów w ich budzących podziw rezydencjach zostawiało się w spokoju. Do czasu! Podczas jednej z licznych obław na Platzspitzu policjanci zastali napis na betonowym moście: „Musullulu tu nie znajdziecie!”

Kto to był Musullulu? Policja wielkim nakładem sił i finansów starała się ukrócić symptomy choroby, której zwalczanie powinno się było zacząć od Bahnhofstrasse, jej panów i klienteli tych panów. Yasar Avni Musullulu należał przez całe lata do szanowanych i chronionych klientów banków zuryskiej Dworcowej. Jedynie jego słabość do orientalnych tancerek (ze specjalnością „taniec brzucha”) przypominała o tureckiej ojczyźnie tego obywatela świata. Musullulu był jednym z najbardziej poszukiwanych przestępców Europy. Handlarz bronią i heroiną mieszkał w willowej dzielnicy Zurychu.

„Auslenderzy” bez środków do życia byli przez policję bezapelacyjnie odstawiani do granicy. Zamożni cudzoziemcy ustalali z urzędem podatkowym wysokość swoich podatków. Jeśli kanton miał finansowy pożytek z takiego obywatela, i to nawet jeżeli te podatki były zaniżone w stosunku do realnego dochodu, to taki cudzoziemiec mógł liczyć na pozwolenie na pobyt (i dyskretną acz skuteczną ochronę). Dopiero skandale wokół Ministerstwa Prawa spowodowały, że mieszkańcy Szwajcarii typu Musullulu poczuli się zagrożeni i woleli zniknąć z pola widzenia, zacierając za sobą wszelkie ślady. Odkąd prezydent George Bush (senior) wypowiedział bezwzględna wojnę handlarzom narkotyków, a ówczesny prezydent Francji François Mitterrand poparł go wszystkimi dostępnymi środkami, nawet w „tak spokojnej Szwajcarii” zaczął im się usuwać grunt pod nogami.

Po raz pierwszy wypłynęła sprawa „prania brudnych pieniędzy” przez szwajcarskie banki przy okazji rozbicia tzw. „Pizza-Connection”, zorganizowanej międzynarodowej siatki handlu narkotykami, mającej swoje punkty przerzutu

i rozprowadzania narkotyków w Szwajcarii i, oczywiście, grube konta. Wtedy to okazało się, że w szwajcarskim prawie istnieje luka, którą „finansowi żonglerzy” wykorzystują do swoich interesów. Inwestowanie dochodu z handlu narkotykami nie podlegało karze, jeżeli nie był on wykorzystany do kupna narkotyków (lub broni, i innych nielegalnych transakcji).

Podczas kiedy szwajcarscy prawnicy już pracowali nad uzupełnieniem tej luki i ukróceniem przestępstw finansowych, amerykańska organizacja do walki z handlem narkotykami, DEA (Drug Enforcement Administration), zainteresowała się na własną rękę działalnością międzynarodowych mafii handlu narkotykami na terenie Szwajcarii. I ich związkami ze szwajcarskimi kołami finansowymi. Praca agentów DEA odbywała się ściśle tajnie. Trzy tysiące odpowiednio przeszkolonych kobiet i mężczyzn wybranych spośród najbardziej sprawdzonych, najpewniejszych ludzi rozspanych było po całym świecie. Oni to przyczynili się do rozbitcia działalności następnej siatki handlu narkotykami na terenie Szwajcarii, zwanej „Libanon-Connection”.

Jak to się odbywało, opisał szwajcarski socjolog Jean Ziegler, profesor na Uniwersytecie Genewskim i Sorbonie, w gorąco dyskutowanej wtedy książce „La Suisse lave plus blanc” („Szwajcaria pierze najbielej”). Łączy się to ze skandalem wokół państwa Kopp. Pani Kopp, z zawodu gospodyni domowa, prawniczka z wykształcenia — bez praktyki w zawodzie — urzęduje w roku 1988 jako minister prawa w rządzie szwajcarskim. Jej mąż, prawnik z praktyką nie tylko w sprawach zgodnych z literą prawa, obciążony wprawdzie już wtedy różnymi aferami, cieszy się jeszcze niejakim poważaniem. Jako radca prawny robi duże pieniądze na przewodniczeniu różnym finansowym firmom, między innymi spółce „Shakarchi Trading”.

W październiku 1988 do jego żony dociera wewnętrznymi drogami tajna wiadomość, że „Shakarchi Trading AG” znajduje się na liście firm podejrzanych o ścisłą współpracę z tureckim i libańskim handlem narkotykami i że policja zamierza je rozpracować. Cóż robi pani Kopp, oprócz tego, że minister — również kochająca i zapobiegliwa żona? Dzwoni do męża prosto z budynku rządowego w Bernie i ostrzega go przed szykującą się kontrolą. Pan Kopp natychmiast wycofuje się z trefnej firmy. Jak się to wydało, że pani minister Kopp dała cynk swojemu mężowi — nie wiadomo, dość na tym, że sprawa przeniknęła do prasy. I właśnie ta jedna krótka rozmowa telefoniczna o poranku 27 października 1988 roku wywołała w Szwajcarii całą serię coraz to bardziej sensacyjnych skandali. Od tego czasu przestało być o pieniądzach dyskretnie.

Jean Ziegler tak wyjaśniał przeciek o porozumieniu telefonicznym między małżonkami Kopp: amerykańska National Security Agency (NSA) dysponowała już wtedy potężnie rozbudowanym, podłączonym do komputerów systemem podsłuchowym wyłapującym według specjalnego kodu rozmowy telefoniczne, w których padają interesujące wywiad hasła. NSA działała również na terenie Szwajcarii, oczywiście bez wiedzy — dopóki to nie wypłynęło — gospodarzy. Superkomputery wyłapywały i porządkowały podejrzane rozmowy. DEA współpracowała z NSA. Nazwa firmy „Shakarchi” trafiła na listę hasel do wyłapania. Pani Kopp ostrzega telefonicznie swojego małżonka o tym, że „policja interesuje się Shakarchi”. Komputer rejestruje rozmowę, ale NSA nie może się przyznać w Szwajcarii, że podsłuchuje rozmowy szwajcarskiego rządu. W końcu jednak pod naciskiem DEA, NSA w sposób zakamuflowany przekazuje wiadomość prasie szwajcarskiej.

To jest powodem ruszenia lawiny, której już nic nie jest w stanie zatrzymać. Pani Kopp niechlubnie kończy karierę polityczną, jej mąż jest — co najmniej moralnie — skończony. Uwaga opinii publicznej zwrócona zostaje na działalność Ministerstwa Prawa, gdzie wiele, bardzo wiele jest nie tak, jak by to oczekiwano od państwa nazywanego się demokratycznym. Wychodzi na jaw, że w Departamencie Policji od początków „zimnej wojny” do upadku muru berlińskiego symbolizującego koniec tamtej epoki prowadzone było archiwum obywateli szwajcarskich, a także niektórych cudzoziemców „przyłapanych” na czymkolwiek. Ponad 900 tysięcy Szwajcarów „cieszyło się” swoją osobistą fiszką. Któryś z nadgorliwych urzędników odnotował nawet prezydenta Johna F. Kennedy’ego, widocznie wydał mu się podejrzany (spotkanie z Chruszczowem!).

Szwajcarom opadły łuski z oczu. Prasa szalała. Jean Ziegler dolewał oliwy do ognia, pisząc książkę za książką, przy czym wydawał je najpierw we Francji, bo w Szwajcarii był początkowo zabroniony. Niektórzy mówili o nim,

że kła własne gniazdo, ale inni zachłystywali się jego publikacjami. Pani Kopp stanęła przed sądem i... wygrała (koledzy-prawnicy nie mogli jej uznać winną). Okazało się, że i tu było potężne niedopatrzenie w prawie szwajcarskim: ludzie u władzy mogli zachowywać się bezkarnie. Oburzenie społeczeństwa sięgnęło zenitu. Na dodatek pani Kopp, jako ex-minister, w dalszym ciągu otrzymywała roczną rentę w wysokości ponad 140 tysięcy franków. Nie było takiego prawa, które by jej odebrało te pieniądze, nawet jeśli nie wywiązała się z ministerialnych obowiązków. A majątek państwa Kopp oceniany był na kilkadziesiąt milionów franków.

Pieniądz ciągnie do pieniądza! Rozmowy o pomocy dla narkomanów rozbijały się zwykle o pieniądze. Kto by na nich łożył? D-o-k-l-a-d-a-ł do nierobów, wyrzutków społeczeństwa? Ktoś skrupulatny obliczył, że człowiek rozłożony na czynniki pierwsze — składniki chemiczne — kosztuje około pół miliona franków szwajcarskich. To ile kosztuje życie ludzkie?

*

PS. Jeszcze do roku 1992 środowisko narkomanów okupowało Platzspitz, potem, rozgromione przez policję, przeniosło się kawałek dalej w górę rzeki, na teren nieużywanego dworca Letten, tam było jeszcze gorzej, miejsce to awansowało do najbrutalniejszego punktu handlu narkotykami w całej Europie. Równocześnie powołano do pomocy narkomanom coś jak policyjne lotne jednostki specjalne, policja patrolowała bliskie Platzspitzu i Letten ulice, narkomani dostawali na poczekaniu, w samochodzie, pierwszą pomoc, kto tylko wykazywał choćby cień chęci leczenia się, miał wszystko zapewnione. W 1995r. zlikwidowano i Letten a narkomani rozproszyli się. Prawo finansowe nie jest już tak dziurawe jak było. O tym mi wiadomo, czego nie wiadomo, tego i ja nie wiem.